

XIV Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych

Przegląd skandaliczny

Przez cały tydzień cztery dolnośląskie media publiczne rozmalały sensacje i sensacyjki związane z XIV Międzynarodowym Festiwalem Teatrów Ulicznych. Najpierw ozajmili one, iż Jelenią Góra najechała gromada śpundów. Później w świat poszła fama, iż głodni i opuszczeni przez wszystkich członków francuskiego zespołu, z którymi bez uprzedzenia [sic!] organizatorzy festiwalu zerwali kontrakt na występy, okupują ich siedzibę. Mogli także przeczytać o perypetyjach zestrzelonego raportera ciągnietego za brodę przez rozzuchwalenych mieszkańców, latających po placu Ratuszowym butelkach oraz trudnościach z oglądaniem poszczególnych widowisk, które - jak dowiódł sprawozdawca - albo się opóźniały, albo w ogóle nie odbywały. Jeżeli do tego apokaliptycznego obrazu dodać jeszcze wiele o poszukiwaniu widowisk przez nieodpowiedzialnych artystów, to można by wyobrazić sobie, iż tegorocznego festiwalu teatrów ulicznych był jednym wielkim skandalem.

Ja, na szczęście, nie traciłem czasu na czytanie prasy. Spokojnalem natomiast siedem długich wieczorów na wędrówce po jeleniogórskim placu Ratuszowym, uliczkach Goerlitz i wiele małych dolnośląskich miasteczek, gdzie występowały zespoły uczestniczące w festiwalu. Siedziałam na bruku, staliłam w zwartym kregu otaczającym grających artystów. Niektórzy widziałam tylko mroże głowę. Innym razem stawałam się jak dziecko będu przezwany chwilę zdumiony, a czasem grozy. Moga wieć stwierdzić z całą niepowrotnością, że silnych wzruszeń nie brakowało, lecz miały one zguba inny wymiar niż prasowe sensacje.

Napad na Lotto

W gestym, pulsującym napięciem tłumie wszyscy zdarzyć się może - nawet kradzież głównego wygranej Lotto. W ręku jej szczelniej zdominowanej przez hiszpańską grupę eklektycznych klawonów Marcelino & Sylvester. Zaproponowali oni widzom ogromne koncerto, do którego jednak nie doszło, gdyż pod uroczą primadonną zatrzymała się estrada. Dlugo trwał wyciąganie dłuży spod gruzów podestu przerywanego gaganem kompanów. Później jeszcze kilka widzów pełna humoru travestitą flamenco i innymi elementami hiszpańskiego folkloru, a prawdziwym mistrzem świata była zaproponowana przez nich żonglerka meksykańska piłeczkami, które przy zetknięciu z powierzchnią wielkiego hebanu wydawały niesamowite dźwięki. Widownia wprost pokładała się ze śmiechu.

Primadonna pod gruzami estrady

Tak, tym razem rzeczywiście male nie doszło do tragedii, tyle że zakończonej przez hiszpańską grupę eklektycznych klawonów Marcelino & Sylvester. Zaproponowali oni widzom ogromne koncerto, do którego jednak nie doszło, gdyż pod uroczą primadonną zatrzymała się estrada. Dlugo trwał wyciąganie dłuży spod gruzów podestu przerywanego gaganem kompanów. Później jeszcze kilka widzów pełna humoru travestitą flamenco i innymi elementami hiszpańskiego folkloru, a prawdziwym mistrzem świata była zaproponowana przez nich żonglerka meksykańska piłeczkami, które przy zetknięciu z powierzchnią wielkiego hebanu wydawały niesamowite dźwięki. Widownia wprost pokładała się ze śmiechu.

Topielec z dwoneczkami

Mózg trudno to uwierzyć, ale ustęp się można... w sensie przełożonym i dosłownym - także na bruku. Doświadczenie tego angielski clown John Lang, który przy pierwszym występie w Jeleniej Górze deszcz zmijał z estrady, a przy drugim odpłynął od niego publiczność. Kraj zdominowany, wśród którego przyodzieli w cząstce z dwoneczkami artysta odgrywał swoją monodramatyczny, opowiadający o historii życia głupca, rozmawiał się z milutą na minutę. Do końca pozostała tylko milicja, a on - to spoglądając w zachmurzone niebo, co smagało się z nagrany na taśmie odgłosami morzkiej fali - grał i grał.

Parówka oczekująca krwią

O tym, jak niebezpiecznym miejscem jest kuchnia, mogli się przekonać widzowie otaczający zwartym kregiem pole gry, na którym występował rosyjski teatr Farces. Największa gromka kula ciasta pożarła jednego z kuchników. Później zgilotynowana parówka obryzgała swych oprawców ketchupową krewią. Z trudem uszły z życiem przed



makaropem-dusicielem. Na tym jednak nie koniec zmagań z kuchenną rzeczywistością, bo oeskubany kurczak okazał się powabny dziewczynce w złotej klatce, co spowodowało, iż pragnący go upiec kucharze prezentowali się w kresku kogutu. A wszystkie te precyzynie wymyślone scenki odgryane zostały z tak zadziwiającą perfekcją, iż widownia male nie zdawała się z zachwytu. Odzyskaawszy jednak wreszcie oddech, wybuchnęła ogromnym aplauzem.

początku zachowywał się po-dejrzanie. Najpierw uparł się, by wygonić wszystkie dzieciaki na obrzeża swojego pola gry. Później porwał z tłumu małe dziecko w wózku, by zmusić jego matkę i jeszcze inne panie z poclechami do szalenego wyścigu w kółko. Biedne, przeszraszonne o losy swych małeństwa, kobiety bez sprzeciwu poddawały się jego tyranii, a bezdzusny tłum widzów śmiał się do nieprzytomności. Do prawdziwego skandalu doszło jednak w chwili, gdy przez publiczność usiłował się przecisnąć samochód z dwogramem zdekorowanym całą sytuacją zagranicznych turystów. Bezczelny klon zatrzymał go bez pardonu, a gdy kierująca samochodem kobieta zaczęła protestować, wyciągnął ja brutalnie za kierownicę i rozpoczęła się kłótnia. Kobiety usiłowały bronić jej męża, lecz zostało zakrzyżony i pobyty, a następnie wrzucony do bagażnika. Dama wpadła w hysterię. Klon brutalny kopnął samochód i wymyślał jego właścielom. Całe zajście wzbudziło gwałtowne protesty widzów, którzy próbowali ratować napadniętych i obzewiadanych intruzów. Ale oto mąż, wyzwolony zbyt szybko z bagażnika, zaczął się powtarzać... prowokując taniec, a widownia długą zegnali ich gromkimi brawami.

Czarny oddech Śmierci

Kilkutysięczny, zwarty tłum otaczający kregiem barwny arkaidyski las. Tak rozpoczęły się spektakli Teatru ARTY. Utopijna kralica szczęśliwą wiek przezwalała jednak drugo, bo oto wśród jej radosnych mieszkańców pojawiły się miaszczyce nieszczerze i zgładły bibliotyki powrótu Lewiatalan. Skrydlaty psuklak złożony czarnym, cuchnącym dymem niszczycielsko wszystko. Owdhanięci chorą rywalizacją ludzie ginęli pod jej śmiertelnym oddechem. Wybuchy ognia, ekstatyczne tance, akrobacje i klawonie nie były w stanie niczego uratować. Powrót do kraju szczęśliwosci okazał się niemożliwy. Zgasły reflektory. Nad światem zapadła ciemność.

Baba monstrum

UFO to małe piwo w porównaniu z wielkim stworem, któ-

ry pojawił się w ubiegły wtorek nad jeleniogórska Starówką. Ogromna kanciasta głowa, cztery oczy i pleki, owadzki odwłoki, który weksał się do okien mieszkalnych. To przerażające działo płynęło nad geszto wypełnionym ludźmi placem Ratuszowym w takt głośnej, rytmicznej muzyki. A dolem padały szaleńczy, harowym pochodem popędzany fukającym naczyniem lekomioływa pojazdem. Z czasem na rozświetlonym sztucznym ogniem niebie pojawiły się inne bajeczne kolorowe stwory. Na rozwieszonej wśród drzew pajęczynie wisi człowiek-muśnia, a Ezali kobietka-piąk płynie dalej po niebie, wywalaając do życia i radości. Za jej dotknięciem z ziemi wyrastały wysokie na kilka pięter barwne balonowe formy. Tłum ogarnęła euforia. W niebie wystrzelili fontanny sztucznych ognów. Lidięta tańczyły i cieszyły się, a sprawczyni ich radości Ezali - wyciągnięta przez francuski zespół Plasticens Volants - zadowolona i zmęczona odpłynęła w dals.

Godzina grozy

...i z zachwytu stała się udziałem kilku tysięcy widzów, którzy na jeleniogórskim placu Ratuszowym oglądali niedzielny spektakl francuskiego zespołu Les Tréteaux du Coeur Volant. To na puryckie widowisko, opowiadające o ludziach uratowanych z apokalipsy, którzy płyną arką Noego w poszukiwaniu szczęśliwej wyspy - schronienia, nikogo nie mogło pozwolić obejrzenia. Duże w nim bowiem było nie tylko pojęcie, lecz także mroczących krewn w żyłach akrobacji na zawieszonych kilka metrów nad piaskiem samochodach Linie. Akrobaci nie tylko po niej chodzili, lecz również jezdili na jedno- i dwukolejkowych rowerach oraz z nieprawidłowością wprawiały wykonywali różnego rodzaju salte. Nie zabrakło też pojazów pleśnień dziewczynę na trapezie, a wszystko zakończyło parada egzotycznych.

Mit na bruku

Za największą sensację XIV wielu widzów - szczególnie młodych - uznale pojawienie się na jeleniogórskim placu Ratuszowym obmętnego legenda, założonego w roku 1947 przez Judith Malinę i Juliana Hecka Living Theatre. Członkowie tego zespołu przez kilka dni prowadzili warsztaty z młodzieżą, a ich efektem był pokaz zatytułowany „Jeden dzień z życia miasta” zaprezentowany w sobotni wieczór. Młodzi wykonawcy, posługując się własnymi głosem, unmysłowski publiczności specyfikę czasów, w jakich żyemy. Ich ekspresyjne ruchy to oddawanie naszej agresji, to znowu emanowane spokiem. Na koniec artyści zeszli z estrady i wtopili się w tłum, tworząc wraz z publicznością jeden wielki, wspólny kraj. Objął on swym pasiastym polem plac Ratuszowy i trwał dłuższy czas w bezruchu. A w kompletnie czarnej jutce zaparowały - dziewczyny tylko rytmiczne tańce oddalały się muzyczki. Ponad tysiąc ludzi stało obok siebie, skracając się za ręce i tak aby społeczeństwo przesłane głoszenie aktualne przez milicyjny Living Theatre: „Nie czyn agresji, rob miłości”. I tej miłości, sympatii, radości oraz emociji związanych z uczestniczeniem w różnym rodzaju działań artystycznych nie brakowało wszędzie tam, gdzie przez cały ubiegły tydzień pojawiały się zespoły uczestniczące w XIV Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Ulicznych. A sensacje i skandale... Tych, jak widać, różne osoby szukają w różnych miejscach i znajdują na mocy swoich potrzeb.

EWA HAN